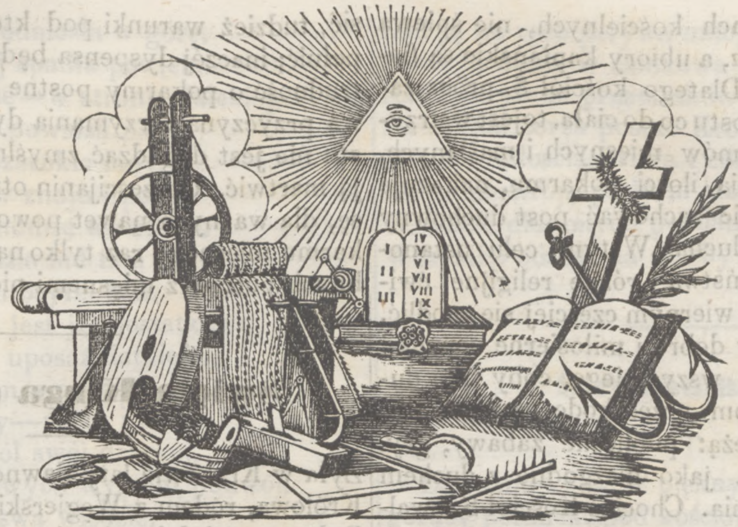
№ 5.

Warszawa.

Dnia 22 Stycznia (3 Lutego).

1856.

Niedziela ZAPUSTNA.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prośby nasze, prosimy Panie, łaskawie wysłuchaj; a uwolniwszy nas od więzów grzechowych, od wszelkiego złego zachowaj. (Modlitwa Kościelna na Niedzielę Zapustną).

Czterdziestogodzinne Nabożeństwo.

Modły, jakie w kościele katolickim wciąż przez trzy dni, przy wystawieniu Najśw. Sakramentu i przy wykładaniu dla ludu duchownych nauk, odprawować się zwykły, Czterdziestogodzinném nabożeństwem się zowią. Dlatego zaś to nabożeństwo takie ma nazwanie, że w ciągu trzech dni Najświętszy Sakrament przez czterdzieści godzin, tojest: przez dwa pierwsze dni po trzynaście, a trzeciego czternaście ku uczczeniu wiernych się wystawia. Czterdziestogodzinne nabożeństwo nie jest ogólném prawem kościoła przepisane; dlatego nie w jednym czasie i nie wszędzie się odprawuje. Gorliwość biskupów i duchownych pasterzy o dobro wiernych, wprowadziła je tylko w tych miejscach, gdzie ci duchownego posiłku najwięcéj potrzebują, a papież Klemens VIII, ustanowił i podał prawidła, jak się ma odprawiać za pozwoleniem biskupów. Jak Mojżesz przez czterdzieści dni na modlitwie gotował się do przyjęcia Boskich przykazań, a Chrystus czterdzieści dni na puszczy przed ogłoszeniem swéj Boskiéj nauki zostawał; tak my przez czterdziestogodzinne nabożeństwo powinniśmy się usposobić do wypełnienia téjże nauki i przyjęcia łask, jakich Bóg nam udziela. Jak lud Izraelski czterdzieści lat na puszczy przepędził, nim wszedł do ziemi obiecanéj, tak my przez to nabożeństwo błagać mamy Boga, aby po odbytéj ziemskiéj pielgrzymce, do niebieskiéj ojczyzny wejść nam dozwolił.

Post Wielki.

W następną środę po téj niedzieli post wielki się zaczyna, i oprócz niedziel, dni 40 pościć wypada. Chociaż w dni niedzielne post nie jest nakazany, jednak zwyczaj Kościoła Ś. w te dni mięsa używać nie dozwala, aby z niedziel nie czynić ciągłych zapust, tudzież, aby nie przerywać umartwienia i duchownych ćwiczeń, którym Chrześcijanie w całym tym czasie poświęcać się powinni.

Ponieważ cały post wielki jest czasem pokuty i umartwienia, ztąd dla wyrażenia tego we

Mszy i nabożeństwach kościelnych, nie śpiewa się *Alleluja* i *Glorja*, a ubiory kapłańskie są fioletowego koloru. Dlatego kościół Ś. prócz zachowania ścisłego postu co do ciała, tojest wstrzymania się od pokarmów mięsnych i maślanych, tudzież ograniczenia ilości pokarmu, nakazuje jeszcze w tym czasie zachować post duchowny czyli umartwienie ducha. W tym celu ustanowił dłuższe nabożeństwa i różne religijne ćwiczenia. Przykazuje wiernym częściej się modlić, być hojniejszymi w dobre i miłosierne uczynki; zabrania zaś tego wszystkiego, coby tym duchownym ćwiczeniom przeszkodę czyniło. Do tych ostatnich należą: publiczne zabawy, gry, tańce, wesela i t. p. jako niezgodne z duchem pokuty i umartwienia. Chociaż Kościół Ś. zwalnia niekiedy surowość postu dla ważnych przyczyn co do pokarmów, lecz obowiązek postu duchownego tenże sam pozostaje; owszem mniejsze umartwienie ciała, większem umartwieniem ducha i gorliwszem pełnieniem dobrych uczynków nagradzać się powinno.

W ścisłości zachowania postu wierni powinni mieć zawsze przed oczyma wzór i przykład chrześcijan pierwszych wieków. Ci bowiem raz tylko na dzień i to późno wieczorem, wyjąwszy chorobę, jadali. Nietylko mięsa, ale wina, mleka, jaj, ryb. i żadnych delikatnych pokarmów nie używali. Pokarmy ich postne były tak pospolite i tanie, iż z wydatków stołu zostawała znaczna oszczędność, którą na jałmużny dla ubogich obracano. Natomiast pierwsi chrześcijanie częściéj przystępowali do Kommunii św. i więcéj czasu na modlitwę poświęcali. Co do zabaw i wesołości, te jako niezgodne z duchem pokuty, u dawnych chrześcijan zupełnie nieznane były. Jak w wielu innych rzeczach, tak też w poście, gorliwość pierwszych chrześcijan, jest ciągłą naganą dla teraźniejszych, za ich osłabienie w umartwieniu ciała i pobożności. Jednak pamiętać powinni, że mają też same potrzeby duchowne, tegoż samego Boga, który ich grzechami się brzydzi i karać je będzie, zatem mają też same obowiązki zachowania praw religijnych. Kościół św. jako wyrozumiała matka, w poście szuka pożytku nie zaś szkody wiernych. Niemożność zaś poszczenia, należy wynagradzać większém *umartwieniem ducha*, częstszą i gorętszą modlitwą, hojniejszą jałmużną i innemi dobremi uczynkami. Starający się o dyspensę od postu, powinien o nią dla ważnych i prawdziwych przyczyn prosić, tudzież warunki pod któremi się daje, wypełnić; inaczéj dyspensa będzie nieważna. Sama trudność o pokarmy postne nie jest sprawiedliwą przyczyną otrzymania dyspensy, bo cel postu nie jest dogadzać zmyślności człowieka, ale ją martwić. Chrześcijanin otrzymawszy dyspensę, dla ważnych nawet powodów, powinien pokarmu mięsnego raz tylko na dzień używać i rybnych potraw z mięsnemi nie mieszać.

Święta Kinga (KUNEGUNDA).

Żyła w Krakowie laty dawnemi
Królowa, rodem z Węgierskiéj ziemi:
Była to pani dobra i święta,
Owoż lud dotąd Kingę pamięta.
Skoro, przebywszy rzeki i góry,
Wjechała Kinga w krakowskie mury,
Ku jéj uczczeniu sprawia Król młody
Przez dni dwanaście wspaniałe gody;
A na te gody z całego kraju
Sprasza lud wierny według zwyczaju,
Bo król Bolesław, pany i kmieci
Jakby rodzone miłuje dzieci.
W otwarte Pańskich świątyń podwoje,
Różnego ludu garną się roje,
Brzmią przy organach pobożne chóry,
A dzwony biją spiżowe z góry;
Na rynku całe pieką się woły,
Gną się pod chlebem dębowe stoły;
By naród ucztę pamiętał długo,
Płynie miód słodki złocistą strugą.
Lecz swéj Królowéj lud nie przepomni,
Zasłyszą o niéj późni potomni,
Bo wielka miłość i wielka cnota
Przeżyje krótki zakres żywota.
A ona Kinga nasza kochana
Znalazła w Niebie łaskę u Pana.
Lica jéj odział hożą urodą,
I skarb miłości tchnął w duszę młodą.
Gdy do dalekiéj gotowa drogi
Żegnała Kinga ojcowskie progi,
Siedział na tronie król Bela stary,
I składał córze królewskie dary:
Drogie klejnoty, złociste szaty.
O! bo król Bela, to pan bogaty,
W jego Węgierskiéj pięknéj krainie
Złoto jak wino potokiem płynie.
Gdy król obdarzył pobożną córę,

Ona wzrok jasny podniosła w górę,
A łza zpod ciemnéj spadła powieki.
„Ojcze mój—rzecze—w stronie dalekiéj,
Kędy mnie polskie powiozą pany,
Kmiotek uprawia szerokie łany;
Gdy on się biedzi w znoju i pocie,
Po cóż Królowéj chodzić we złocie,
Chleba ma wprawdzie lud tam do woli,
Lecz nie posiada ni bryłki soli,
A tu na Węgrzech jest jéj dostatkiem:
Takim mnie Królu uposaż datkiem,
A ja ci za to oddam z ochotą
Wszystkie klejnoty—perły i złoto.
Zadość uczynił Król swéj dziewoi,
Powstał—z zamkowych wyszedł podwoi,
I ku granicy córę swą wiedzie,
W orszaku panów, sam z nią na przedzie.
A w ślad za niemi konne i piesze
Garną się ludu wiernego rzesze.
Przebyli góry—aż Król na drodze
Sam powstrzymuje biegunów wodze,
Prowadzi córę nad brzeg pieczary:
„Wzgardziłaś—rzecze—złotemi dary,
Daję ci w zamian po twojéj woli
Dla twego ludu dostatkiem soli.“
Rumieniec oblał Królewny lica,
Kornie objęła stopy rodzica,
Serce z radości rośnie nad miarę,
I złoty pierścień rzuca w pieczarę,
I żegna ojca: a posły wiodą
W mury stolicy Królowę młodą.
A sól się mnogo w ziemi rozrasta
I sięga niemal pod bramy miasta.
Nim się weselne gody skończyły,
Królowa naród gromadzi miły,
Z licznym orszakiem w godowym wieńcu
Idzie po przedzie przy oblubieńcu.
Aż gdy uczuła pod stopy swemi
Kryształy solne w wilgotnéj ziemi,
Daje znak ręką, a za rozkazem
Lud porze ziemię twardem żelazem,
Serca zagrzewa ochota szczera.
Ledwie zieloną murawę zdziera...
O! kto cud Boży wypowie słowy:
Błysnął złocisty pierścień Królowéj,
A pod nim wkoło, jak sięgnie oko,
Solne się bryły świecą szeroko.
Radość powstaje w tłumie nieznana,
A młoda Kinga zgina kolana,
A hymn zasyła Bogarodzicy;
I gdy powraca w mury stolicy,
Lud ją na ręce porywa mnogi
I sam ją niesie w zamkowe progi;
Nad odkrytemi prostaczków głowy,
Świeci jak zorza postać Królowéj.
Zdobna miłością, wiarą i cnotą,
Bo ją nie stroją perły ni złoto;
Wszakże dla miłych poddanych doli
Wszystko oddała za skarby soli!

Straganiarka.

Lat temu kilka, w piękny, pogodny i prawie gorący poranek, pod kościołem Śgo Alexandra, z prawéj strony trotuaru idącego od budki strażniczéj, siedziała przy ubogim straganie niemłoda już kobieta. Za pośrednictwem tamtejszego proboszcza wyrobiwszy sobie pozwolenie na sprzedawanie rozmaitych drobiazgów, całe lato utrzymywała szczupłym z tego handlu zarobkiem siebie i dwie córeczki: Józię, mającą wówczas już trzynasty rok i Kasię pięcioletnią dziewczynkę. Kiedy matka szła do swego przemysłu, wtedy obie dziewczynki zostawały w domu, i Józia, z pomocą Tomaszowéj, żony mularza, u któréj mieszkały, przyrządzała matce jaki taki posiłek i koło godziny dwunastéj niosła jéj w dwójniaczku pod kościół. Ciężkie było bardzo ich życie, ale straganiarka ciesząc się zdrowiem, pięknością i dobrem sercem swych dzieci, siedząc w cieniu kościoła, i pod opieką tych świętych, do których się w nim co niedziela modliła, znosiła wesoło swój los, przedawała co mogła, a gdy nikt nie przechodził, a choć i przechodził, a do straganu nie zbliżał się, śpiewała sobie pocichu pobożne pieśni, ufając Bogu, że jéj przecie zeszle kogoś, co kupi to lub owo, i że jéj i tego dnia na chléb powszedni wystarczy. Bo téż na straganie jéj były różne rzeczy, które mogły zachęcić i starych i młodych. Były tam przeszłoroczne czerwone jabłka, w pierwszym rzędzie ustawione w piramidy, tak, że na spodzie było trzy, a na wierzchu jedno najładniejsze i najzdrowsze, daléj szły w niewielkich kupkach rożki, przedzielone figami i daktylami, potém włoskie, laskowe i tureckie orzechy; potém szedł rząd pierniczków w różnych formach, to jak esy, to jak kółka, to jak serca, a nawet jak koniki z siedzącym na nich huzarem, wszy-

stko to było dla studencików, którzy z rumianą twarzą, ześmiechem na ustach i ze swawolą w oczach biegli o ósméj i o drugiéj do szkoły, a jeszcze prędzéj i weseléj wracali o dwunastéj i o czwartéj do domu. Straganiarka wtedy zbierała od nich najwięcéj trzygroszówek, piątek i dziesiątek, bo deklinacye i konjugacye łacińskie, ułamki zwyczajne i dziesiętne wygłodziły ich porządnie i obudziły apetyt na te wszystkie łakocie, które im lazły w oczy i w takim ładnym ordynku stały na stole. Po tych wszystkich przysmakach ułożone były obficie różne zabawki dziecinne: gliniane świstałki, drewniane grzechotki, małe klateczki z siedzącym we środku ptaszkiem, kukułki z mieszkiem, kukające za pociśnieniem, maleńkie pozytywki, które przyduszone zlekka wydawały śliczną muzykę. To wszystko przeznaczone było dla matek prowadzących dzieci swe na spacer, i dla nianiek niosących wychowańców swych w aleje na świeże powietrze. Po tém wszystkiém były towary użyteczniejsze, które kupowali starsi, jakoto: kupki tasiemek białych i kolorowych; kółka wązkich wstążeczek czerwonych, zielonych i błękitnych; w papierach szpilki i igły, w krubeczkach kartonowych haftki, guziczki, daléj nici grubsze i cieńsze w moteczkach, daléj jedwab w małych węzełkach, a nawet rogi i fiszbiny, na przypadek, gdyby któréj przechodzącéj pani lub słudze potrzebne się okazały do gorsetu. Taki był ten stragan, który żywił straganiarkę Szymonową, przestającą na tém, co jéj Bóg daje i ufającą w jego Opatrzność.

Ale tego dnia, o którym mówimy, straganiarka była smutna i zamyślona, nie śpiewała pieśni, nie wzywała przechodzących do kupowania, ale wsparłszy głowę na ręku, myślała głęboko i wzdychała ciężko. Jéj Józia leżała chora, a ona nie mogła pilnować kochanego dziecka, musiała iść pod kościół, żeby zarobić kilka groszy na dzienne utrzymanie. O kuracyi, o lekarstwie nie można było i pomyśleć, i to ją najwięcéj bolało. Ale Bóg wejrzał do matczynego serca i zesłał jéj niespodziewaną pociechę. Była wtedy w Warszawie jedna można pani, zacna i miłosierna, która zapominając o swoich bogactwach i strojach, odziewała się często skromnie, a nawet ubogo i szła szukać biednych w ich nędznych mieszkaniach, niosąc pożywienie głodnym, lekarstwo chorym, odzienie nagim i obdartym, a wszystkim pociechę, radę i umocnienie.

Otóż nie można wątpić, że to ze zrządzenia Bożego dobroczynna owa Pani, ukończywszy swoję miłosierną wędrówkę, około godziny jedenastéj stanęła przed straganem. Widywała ona i dawniéj straganiarkę przechodząc tamtędy, ale zawsze czysto ubraną, wesołą i spokojną. Nie przyszło więc jéj na myśl zbliżyć się do niéj i wejść w jéj położenie; ale dziś uderzył ją smutek kobiety i zastanowiły oczy jéj zapłakane.

Zaczęła więc od tego, że kupiła paczkę tasiemek i papier szpilek, dała jéj za to rubla. A gdy Szymonowa wymawiała się, że nie ma reszty, rzekła z łagodnością, że kiedyindziéj odbierze, jak będzie przechodzić. Zastanowił straganiarkę wyraz téj twarzy, na któréj malowała się dobroć, i ta szczerość i ufność w kobiecie, ubogo prawie ubranéj i niezdającéj się być wielką panią; rzekła więc:

— Aj! Boże mój, Boże! Pani mnie ufasz i wierzysz, a kiedyż ja oddam i czy będę mogła oddać w mojem dzisiejszem nieszczęściu?

— Cóż to ci się stało, moja kobieto! zawsze widywałam cię spokojną i wesołą.

— Ciężko mnie Pan Bóg dotknął—odpowiedziała straganiarka wzdychając—Józia mi chora—a wspomniawszy zapewne że pani nie wie, kto jest Józia—to proszę pani, starsza moja córeczka; a mam ich dwie tylko, i druga jeszcze maleńka, bo ma dopiero pięć lat. Coto, proszę pani, takie dziecko za radę da choréj, a ja tu muszę siedzieć, żeby było na kawałek chleba i na szklaneczkę mléka dla mojéj biedaczki, co tam leży sama jedna.

— Cóż to jest Józi?—zapytała pani z zajęciem.

— Czy ja wiem, proszę pani? Głowa ją boli, gorąca jak ogień, usteczka ma spalone. Biedne moje dziecko! zawsze mi tu przynosiła obiad, i choć dopiero ma trzynasty rok, krzątało się to biedactwo, jak co słusznego, żeby matka miała łyżkę ciepłéj strawy.

— A nie radziłaś się jakiego doktora?—zapytała pani.

Straganiarka wydobyła z kieszeni kilka dziesiątek i kilka trzygroszniaków, i pokazując je pani, która zrozumiała doskonale ciężkie to położenie, rzekła:

— Oto mój zarobek — potem nagle rzuciwszy na stół pieniądze, krzyknęła: Jezus Marya! coś tam się już złego musiało zrobić! Kasia tu biegnie. W rzeczy saméj Kasia przybiegła bez tchu i tuląc się do matki, z płaczem zaczęła wołać:

— Mamo! Józia bardzo, bardzo słaba. Już nie patrzy i nie gada, tylko tak przewraca oczy. Tomaszowa mówi, że Józia umrze prędko, jak nie przyjdziesz.

— A toż mię Pan Bóg ciężko ukarał i za co, za co?—zawołała kobieta w rozpaczy, usiadła na swojém miejscu, i załamawszy ręce siedziała tak bez ruchu, nie wiedząc co począć.

Wtedy Pani dobyła swój woreczek, w którym oprócz kilku dukatów, jakie zawsze tam miała na przypadek większéj i gwałtowniejszéj potrzeby, było jeszcze parę rubli i cokolwiek drobnéj monety. Wzięła więc z niego jednego dukata, jednego rubla i trzy dwuzłotówki, i z tą decyzyą i przytomnością umysłu, jaką jéj dało oswojenie się z niedolą bliźnich, chęć i możność jéj ratowania, rzekła:

— Kobieto! nie grzesz zwątpieniem, bo oto masz ratunek dla swego dziecka. Na, tu są drobne na dorożkę, siadaj i jedź szukać doktora, tu masz dla niego dukata, jeżeli i tak nie pojedzie; daj mu go zaraz i proś, żeby siadał z tobą, bo pilno, a tu masz rubla na aptekę; nie patrz tak na mnie kobieto! ale ruszaj, ruszaj co prędzéj, bo choroba nie czeka. A ty dziecko, dodała, dając Kasi parę jabłuszek, biegnij do domu, powiedz Tomaszowéj, niech nie odstępuje Józi, bo matka zaraz tam przyjedzie z doktorem.

Dziewczynka pocałowała ją w rękę i pobiegła. Matka spojrzawszy na spadłe jéj jakby z nieba pieniądze, w których była nadzieja ratunku dla jéj dziecka, i potem na swój stragan, który na wolę przechodzących zostawić miała, zawoła:

— O mój Boże! toż cały mój majątek, jakże ja to porzucę.

— Bądź spokojna, — rzekła wówczas pani bez namysłu, — ja tu zostanę i pilnować go będę. — Kobiéta patrzyła się na nią z niedowierzaniem, a Pani ukazując przejeżdżającą w téj chwili próżną dorożkę, odsunęła ją z jéj miejsca i siadając na jéj stołku, dodała:

— Oto próżna dorożka, jedź prędko do Świętego Rocha, tam zastaniesz teraz doktora. A nie bójże się o swoje dobro, biedna kobiéto, nie bój! ja ztąd nie odstąpię, póki nie wrócisz; nic ci nie przepadnie, a co sprzedam, to ci oddam wiernie. Straganiarka usłyszawszy te słowa, zapłakała, potém spojrzała na kościół, westchnęła głęboko i nic nie odpowiadając, pobiegła za dorożką, wsiadła w nią i pojechała.

———

Pani została za straganem, i przypatrując się ubogiemu dobytkowi, który utrzymywał trzy biédne istoty, myślała o swoich milionach, i serce jéj uderzyło jeszcze silniéj temi wszystkiemi uczuciami, które je przepełniały; ugruntowała się w tych świętych postanowieniach, które jéj nie odstępowały ani na chwilę, a w głowie jéj powstała myśl korzystania z dziwnego wypadku, który ją zrobił straganiarką, przedającą jabłka, rożki, szpilki i tasiemki, postanowiła więc zrzucić swoje inkognito, dać się śmiało poznać znajomym, którzy przechodzić będą, i drogo sprzedawać to, co jéj boleść niezmierna matki do spieniężenia zostawiła Wzywa więc śmiało przechodniów: „Panowie! kupujcie jabłka i daktyle, będą wam smakować, bo to dobry uczynek! Panie! kupujcie, kupujcie wstążeczki, będzie wam w nich ładnie, to dobry uczynek!“ I przechodzący Panowie i Panie przystępowali do straganu, przypatrywali się szczególnéj przekupce, która tak do nich przemawiała, któréj twarz znacząca, uderzała ich jakimsiś dziwnym wyrazem świętości i natchnienia, chociaż ubiór był prosty i ubogi. Mało kto odszedł ruszywszy ramionami, a prawie każdy z zamożniejszych coś kupił, nie dziwiąc się, że za kupkę czy jabłek, czy fig i daktylów, czy tasiemek i wstążek, naznaczyła wysoką cenę t. j. rubla srebrem. Tym sposobem, nim uderzyła dwunasta, zebrało się dziewięć rubli, które z dwoma dukatami, jakie położyła sama za dwie paczki tasiemek, mogących się jéj przydać na jaki prezencik, świeciły pięknie i zachęcały nowych kupujących. Widok ten cieszył ją więcéj, niż blask brylantowych kolij, niż migające tęczowem światłem kolczyki, niż rzucające ogień pierścienie i perły mleczne, przelewające światło i jak groch duże, które miała w swojéj szkatułce. Bóg widać dojrzał tę szczerą radość jéj szlachetnego serca, i błogosławiąc jéj chęciom i poświęceniu, zesłał jéj tego dnia takie żniwo, jakiego się nawet i ona spodziewać nie mogła.

Na Wiejskiéj ulicy mieszkał wówczas możny jeden pan, który się nazywał Felix. Byłto właśnie dzień jego imienin, i o godzinie dwunastéj zaproszonych tam było wielu Panów na wielkie śniadanie. Zaczęli tedy oni iść i jechać, skoro wybiła dwunasta; wszyscy byli znajomi, krewni lub przyjaciele, téj zacnéj i dobroczynnéj Pani, która skoro ujrzała dwóch pierwszych zbliżających się do straganu, nietylko nie zakrywała się przed niemi, jak to zwykle czyniła na ulicy, ale owszem, powstała z miejsca, żeby ją lepiéj widzieli, i wołała ich z uśmiechem ponazwisku. Zdziwieni Panowie, usłyszawszy, że jakaś straganiarka śmie ich wołać i nazywać, obejrzeli się, przystąpili prędko, a poznawszy tę, którą wszyscy szanowali, nie wątpili już, że to jest jeden z tych oryginalnych pomysłów, który jakiemuś cierpieniu ulgę przyniesie. A gdy przemówiła: „kupujcie panowie! wszystko wprawdzie drogo, za każdą kupkę czy jabłek czy rożków, czy pierników po trzy ruble. Taniéj nie odstąpię; a im więcéj dacie, tém lepiéj będzie wam smakować.“

Zrozumieli panowie o co idzie, i jeden dał za parę jabłek dukata, a drugi za kilka rożków położył papiérek dziesięciorublowy. Pani podziękowała, a dowiedziawszy się od nich, że idą na śniadanie do Hrabiego B*. gdzie ich będzie wielu, prosiła, aby jéj przysyłali kupców; a gdy skłoniwszy się jéj, ze czcią poszli, patrzyła pilnie na ulicę, aby którego z idących lub jadących na śniadanie, nie prześlepić. Jakoż żaden nie przeszedł, któregoby nie zawołała, któryby nie wziął daktyla lub pierniczka i nie położył tyle, ile żądała, a czasem i trzy razy więcéj. I tak Hrabia Władysław kupił grzechotkę dla swego synka i dał za nią dwa półimperyały, Xiąże Henryk wziął papier szpilek i zapłacił trzy dukaty, Bankier Z. który miał interesa téj Pani, wziął paczkę tasiemek i dobywszy z kieszeni od kamizelki pięć półimperyałów, których tam zawsze miał dużo, i któremi lubił bawić się, gdy z kim rozmawiał, położył je na stole. Tym sposobem rósł kapitalik biednéj matki i rosło serce zacnéj kobiéty, która nie patrząc na pobudki, dla których ci Panowie jéj dawali, ceniła tylko datek i dziękowała Bogu, że ją zrobił narzędziem pociechy i ulgi strapieniu.

Na śniadaniu u Hrabiego mówiono tylko o straganiarce, wszyscy obecni, którzy nic jeszcze nie dali, zrobili składkę. Hrabia od siebie dał pięć dukatów i jeden z młodych Panów odniósł tę sumkę i do całości przyłączył. Pani zliczyła całą swoję zdobycz i pokazało się, że było wszystkiego sto dwadzieścia trzy ruble. A gdy koło godziny drugiéj, jako w porze obiadowéj, nikt już nie przechodził, rozsunęła pierniczki i rożki, na tém miejscu ułożyła porządnie pieniądze, rozgatunkowała je dla łatwiejszego rachunku, i przykrywszy chustką, czekała powrotu Szymonowéj, niespodziewającéj się zapewne, jaka ją czeka radość.

Dopiéro o kwadrans na trzecią przybiegła bez tchu straganiarka, a postrzegłszy, że Pani jeszcze siedzi, zaczęła ściskać jéj kolana, wołając:

— O moja dobrodziejko! ty jeszcze palisz się na słońu dla mnie biednéj, niech ci Bóg wszytko zapłaci.

— Jakże się ma Józia? bo widzę masz twarz spokojną.

— Dzięki Bogu! i dzięki tobie dobra Pani, ma się lepiéj, już patrzy i uśmiecha się. Znalazłam zaraz doktora, który koczem swoim pojechał, a ja przodem dorożką. Powiedział, że to były konwulsye, że dziecko będzie zdrowe, tylko przyszle lekarstwo i cyrulika z pijawkami. A dukata nie wziął, oj! niech mu Bóg płaci. Widno, są jeszcze dobrzy ludzie na świecie, a człowiek czasem grzeszy bardzo, kiedy wyrzeka.

— I ty także, biedna kobieto, zgrzeszyłaś rozpaczą, a jednak Pan Bóg ci to przebaczył, i nieszczęście twoje zamienił na radość.

— Niech będzie Imie jego pochwalone — rzekła kobieta to też zaraz jutro dam na mszą Stą i będę krzyżem leżeć, dziękując Panu Bogu, że nie słuchał mojego głupiego gadania, i zesłał mi taką dobrodziéjkę.

— Pozbierajże teraz swoje drobiazgi, co tu jeszcze zostało od tego, com ci sprzedała, — rzekła Pani i spiesz do dziecka, żebyś była w domu, jak przyjdzie cyrulik z pijawkami. A powiedz mu, niech cię dobrze nauczy, co masz robić, jeżeliby się potém z któréj ranki krew puściła.

Dobrze Pani, zapytam się, odpowiedziałaSzymonowa i zaczęła zsuwać kupki jabłek, żeby je wrzucić w koszyk, w którym zamykał się cały jéj sklep, gdy go zrana przynosiła. Wtedy postrzegła coś przykrytego chustką. Ale jakież było jéj

zadziwienie, gdy ją podjęła, i tyle złota, srebra i grubych papierów uderzyło jéj oczy. Wzięła się za głowę nie dowierzając sobie, czy to we śnie, czy na jawie. Poglądała jakby w odurzeniu to na pieniądze, to na Panią, która uśmiechała się do niéj łagodnie i stała jeszcze na miejscu, nie dlatego, aby się doczekać podziękowania, ale żeby jéj dać dobrą radę, co ma z kapitałem swym zrobić. Nareszcie przychodząc do siebie Szymonowa dotknęła palcami półimperjałów, dukatów, rubli i papierów, i widząc że to prawda, że skarb, jakiego jeszcze nie widziała nigdy w takiéj massie, nie znika, krzyknęła: Boże! Boże! dziękuję ci! i upadła na kolana i płakać i modlić się zaczęła.

O wieleż milionów bogatszą uczuła się wówczas ta Pani! Łzy pokazały się i w jéj oczach, lecz pokonawszy swe wzruszenie i chcąc uniknąć widowiska, gdyż przechodzący zaczęli zatrzymywać się, przypatrując się temu, co się działo, położyła rękę na ramieniu Szymonowéj i rzekła:

— Wstań dobra kobiéto! Bóg mi pobłogosławił. Sprzedałam ci niewiele, a drogo. Masz tu wszystkiego ośmset dwadzieścia złotych. Fundusik to piękny, słuchajże teraz co ci poradzę.

— Radź Pani! radź Aniele! usłucham cię i zrobię jak każesz, odpowiedziała straganiarka.

— Zostaw sobie w domu sto dwadzieścia złotych na zakupienie więcéj towaru, na kuracyą Józi, i na pierwsze potrzeby. To ci wystarczy, masz jeszcze i dukata, którego doktor nie wziął a siedmset złotych zanieś do Kassy oszczędności. Tam ci dadzą kwit, który chowaj dobrze, żebyś go nie zgubiła, a za którym, jak się zdarzy choroba, lub inna jaka potrzeba przyciśnie, wydadzą ci i odpiszą na nim tyle, ile zechcesz. Tam sumka twoja nietylko nie przepadnie, ale jeszcze urośnie i powiększy się. A tymczasem pracuj, jakbyś nie miała złożonych pieniędzy, których tylko w nieszczęściu użyć godzi się. Bo Bóg błogosławi tylko tym, co pracują ciągle, wytrwale, z wesołem czołem i z ufnością w sercu. A nie mów nigdy drugi raz, jak przyjdzie jakie zmartwienie: Boże! karzesz mię, a za co? Bo nikt z nas nie jest bez winy. Przekonałaś się jak ten Bóg miłosierny, kiedy tego bluźnierstwa nie słyszał i zamiast kary, dał ci tyle szczęścia, jakiegoś się nie spodziewała, jakże możesz myśleć, że jest niesprawiedliwym! Pamiętajże o tém wszystkiem, dobra kobieto i bądź zdrowa. — I poszła prędko nie oglądając się.

Straganiarka słuchała tych słów z uwagą, ale nie mogła się zdobyć ani na podziękowanie, ani na żadną odpowiedź, i patrzyła w milczeniu za odchodzącą. A gdy jéj znikła z oczu, zawołała: Ach żebym choć mogła wiedzieć, jak się ona nazywa! Stojący obok ksiądz, który się z zajęciem scenie téj przypatrywał, wymienił tytuł i nazwisko téj Pani. Wtedy Szymonowa rzekła, składając ręce:

— Mój Boże! taka Pani, a taka dobra i łagodna, a tak słodko ze mną mówiła, a tyle dla mnie zrobiła! a ja myślałam, że oni wszyscy hardzi i nieużyci.

— Nie wszyscy, moja kochana — odpowiedział ksiądz z powagą — ale takich jak ta bardzo mało, nietylko u nas, ale i wszędzie. Podziękuj Bogu, żeś stanęła na jéj drodze. Błogo utrapionym, jeśli się do nich zbliżają ci, których Pan jako narzędzia łaski swéj wybrał.

To powiedziawszy ksiądz oddalił się, a straganiarka, postanowiwszy wyszukać swego Anioła pocieszyciela, tę Panią, która się stała narzędziem miłosierdzia Bożego nad nią, i upaść jéj do nóg z Józią, skoro wyzdrowieje, schowała swoje pieniądze, spakowała swoje towary, i pomodliwszy się jeszcze przy drzwiach kościoła, zaniosła stragan do sieni Probostwa, a sama z koszykiem w ręku pobiegła do domu.

Długo w Warszawie gadano o straganiarce, nietylko w najpierwszych domach, które to najbliżéj interesowało, ale i w ogóle publiczności światlejszéj i pojmującéj stronę moralną każdego postępku, chociażby wychodził z granic zwyczajnych ludzkich czynności i zakrawał niby na oryginalność i dziwactwo. Na cześć wszystkich wiedzących o tym głośnym wówczas wypadku, a szczególniéj na cześć kobiet, które go oceniały, jak zasługiwał, powiedzieć mogę, że chociaż ta i owa czuła w duszy, żeby się nie zdobyła na taki akt poświęcenia, nie było jednak ani jednéj, którąby go znalazła albo nienaturalnym, albo tchnącym chęcią popisania się z miłosierdziem, albo trącącym śmiesznością i przesadą. Wszystkie słuchały szczegółów jego z rozrzewnieniem, i niejedna cichaczem poszła szukać biednego poddasza, lub spacerując oglądała się, czy nie obaczy gdzie jakiéj zasmuconéj twarzy, któréjby pospieszyła z pociechą. Oby i opisanie tego pięknego czynu przyniosło jakiéj

biednéj straganiarce choć setną część téj radości, jakiéj doznała tamta.

O Szkołach Niedzielnych w Warszawie.

—

Dla bardzo znacznéj liczby młodzieży, zajętéj w dni powszednie pracą i będącéj w nauce u rzemieślników, założono szkoły, w których wykład nauk w niedziele i dni świąteczne się odbywa.

Takich szkół w mieście naszém jest sześć:

1sza przy ulicy Leszno,
2ga „ „ Krzywe-koło,
3cia „ „ Królewskiéj,
4ta „ „ Freta,
5ta „ „ Krakowskie-Przedmieście,
6ta „ „ na Pradze,

Do 3,000 uczniów pobiera w nich nauki.

Szkoły te podzielone są na oddziały, w których wykładają się:

Zasady Wiary,
Rachunki i początki jeometryi,
Kaligrafia, czyli sposób czytelnego i pięknego pisania,
Język Polski i
Rysunki.

Wszystkie te nauki wykładanė praktycznie, zastosowane do zawodów uczącéj się młodzieży, przyczynią się, byleby z nich korzystać chciano, do postawienia jéj na pewnym stopniu ukształcenia i tak:

Poznanie zasad wiary i pisma świętego wpłynie na moralność, a ta zbawienne skutki na ich przyszłość wywrze.

Znajomość języków, a przynajmniéj rodowitego postawi rzemieślnika w możności czytania dobrych książek, kształcących umysł, z których, prócz wielu innych wiadomości, dowiedzieć się może o potrzebnych rzeczach, tyczących się jego zawodu.

Pismo ułatwi porozumiewanie się listowne z osobami oddalonemi, a przy znajomości rachunków, uczyni go zdolnym do poprowadzenia regestrów i książki wpływów i wydatków, daléj obrachowania się przy zakupach, sporządzenia i wypisania rachunku za dostawienie roboty, własnoręcznego zakwitowania z odbioru należytości i t. d.

Rysunki nakoniec oprócz tego, że wielu rzemieślnikom są konieczne do ich rzemiosła, kształcą nadto gust, czem przyczyniają się do dokładności i wykończenia roboty.

Tak oczywiste korzyści powinny każdego z uczącéj się w tych szkołach młodzieży zachęcić do pracy, oraz, by korzystał z czasu i danéj mu sposobności.

I kupcy warszawscy, uważając potrzebę kształcenia zostającéj po handlach młodzieży, własnym funduszem założyli pod nadzorem Władzy naukową szkołę, w któréj wykładają się nauki, mianowicie: zasady wiary, języki: polski, rossyjski, niemiecki, rachunkowość handlowa, jeografia handlowa i wykład prawa wexlowego. Szkoła ta przy dalszém rozwinięciu się rokuje dla stanu handlowego korzyści, bo kształcąc młodzież dzisiejszą, przyczyni się znakomicie do tego, że ta z czasem wyjdzie na praktycznych i w zawodzie swym uzdatnionych kupców.

Prócz tych szkół niedzielnych w Warszawie, w Przytułku Śgo. Wincentego a Paulo, przyjmują się dzieci rzemieślników i wyrobników płci żeńskiéj; jest już takich po dzień dzisiejszy 14, i tu prócz robót różnych, odpowiednich wiekowi i płci wychowanek, uczą się one nadto czytać, pisać i rachować, prócz tego zatrudniają się praktycznem gospodarstwem domowem. W przyszłości przy rozwinięciu się dalszem zakładu, otwartym on będzie i dla dzieci płci mezkiéj, w celu kształcenia ich na dobrych rzemieślników, głównie na wsie przeznaczonych.

Nie bądź sam u siebie mądrym: bój się Boga, a odstąp od złego.

Ks. Przyp. Roz. 3, 7.

Bo kogo Pan miłuje, karze; a jako Ojciec w synie kocha się.

Ks. przyp. Roz. 3, 12.

Nie broń dobrze czynić temu, który może: jeżeli możesz i sam dobrze czyń.

Ks. przyp. Roz. 3, 27.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa d. 19 (31) stycznia 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*